



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

POWRÓT PIEŚNI.

Stała smutna przede mną i blada,
Ze łzami w oczach, z rozrzuconym włosom,
I taka chwiejna, jak kwiat, co opada,
Taka skarżąca się żalonym głosem,
Trwożna, jak człowiek, który się spowiada,
Winy swe smutnym chcąc tłumaczyć losem...

Na ten jej widok serce mi zadrżało—

O! pieśni moja, co się z tobą stało?

Na twoich włosach pustych kłosów wieniec,
I szczyrby widzę na twym srebrnym sierpie.
Żniwiarko moja! a gdzie twój rumieniec,
Co swą purpurę w zdrowej pracy czerpie,
A dla piękności jest, jak oblubieniec,
Konieczną parą? Ona jęka:—Cierpię!

I dalej stała w tej swojej żalobie....

O! pieśni moja, co się stało tobie?

Nie taką byłaś, gdy ciebie o świecie,
W ów dzień wiosenny, kiedy wszystko wschodzi,
Wysłałam na świat bując po błękitach
I witać słońce w zórz rannych powodzi,
I pełne natchnień prowadzić tam życie
Co się echami śpiewnemi rozechodzi,
I otoczywszy się tęczową szarfą,
Być melodyjną dla tej wiosny harfą.

Dla ciebie słońce paliło się w górze,
I świetne blaski łamało na rosie,

Strzeliste błyski miały się w chmurze.
I piorun huczał w szmerów zgodnym głosie.
Dla ciebie piękność mieszkała w chaosie,
I nowy ład się kształtował w naturze.
Dla ciebie z nocy tajemniczych mgławic
Świat występował z szybkością błyskawic.

Tobie się rankiem otwierały róże
I tajemnicę zwierzały serdeczną.
W nawach przestrzeni, w cudownym lazurze
Śpiewał skowronek swą jutrznię słoneczną;
Tobie pod stopy, jak srebrne podnóże,
Stały się gwiazdy wielką drogą mleczną:
Wszystko, od ziemi do gwiazd korowodu,
Było szczeblami twojego pochodu.

Myśląc, że lepiej ci będzie, niż ze mną,
Z głębi mej duszy w świat rzuciłam ciebie;
Że gdy chwilami mnie jest całkiem ciemno,
Ty za to będziesz w bezustannem niebie;
I gdy ja często siłę się daremno,
Zmuszona żyć tu na powszednim chlebie,
Ty żyjesz wolno, szczęśliwie i dumnie—
I że nie ujrzę cię aż przy mej trumnie.

Ty, dawniej żywa, marząca, namiętna,
Stajesz przede mną po przebyciu drogi
Przez wszystkie cuda natury—tak smętna,
I puste kłosa rzucasz mi pod nogi,
I tak milcząca jesteś, obojętna,
I tyle w tobie jest smutku i trwogi:
O, pieśni moja, w cierniowej koronie,
Kto tak boleśnie uwieńczył twe skronie?

Z myśli ci moich lekkie dałam szaty,
Z serca mego skry życia tętniące,
Łzy mego smutku i marzeń mych kwiaty,
I błyskawice pragnienia gorące;
Z mojej fantazyi, jak motyl skrzydlaty,
Wyniosłaś kształty malowniczo lśniące;
Moje cię tchnienie miłosne owiało:
Cóż się z tem wszystkim, pieśni moja, stało?!

Słuchaj—odrzekła nakoniec pieśń moja—
Co się na wielkim świecie ze mną stało:
Za słabą była na piersiach mych zbroja;
Stalowej siły dałeś mi za mało;
Twoje uczucia, myśli, boleść twoja—
Wszystko na żarze słonecznym stopniało.
Na świecie leż się i kwiatów nie licz:
Kto chce być z światem, niech krwi swej użyży.

Gdy mnie w motyla skrzydłach zobaczono,
Śmiech usłyszałam w tłumie ludzi czarnym;
A potem strzałą piersi mi rozraniono
I położono na stosie ofiarnym,
Gdzie czystej prawdy święte ognie płoną;
Ale mój płomyk wydał się zbyt marnym:
Życie się we mnie za słabo paliło,
A w ranie mojej kropli krwi nie było.

Cóż-to!—wołali—przychodzisz ze łzami,
Kiedy wytrwałej siły nam potrzeba?
My ciernistemi wędrujem drogami,
A ty nam nuczisz o słodyczach nieba:
Nie słowikowi żyć między orłami,
Z puchów kwiatowych nie uczynisz chleba;

Pragnień, od których pierś ludzka usycha,
Ty nie ukoisz z róż łzawych kielicha.

Zapatrzyć się w przeszłość i uchyl jej wieka,
Schwyć iskrę w grobów zamkniętą sklepieniach;
Potem złożyć głowę na piersiach człowieka
I słuchać czujnie, co w jego westchnieniach
Zwierzysz ci terazniejszość, która czeka
Na przyszłość, tkwiącą jeszcze w zagadnieniach;
Kochaj współczesność z myślą o przeszłości,
A może przyszłość przeczujesz w ciemności.

Na wielkiej drodze, którą ludzkość śpieszy,
Nie możesz tylko jak wonny kwiat leżeć;
Nikt cię z twych lekkich marzeń nie rozgrzeszy,
Jeśli nie będziesz razem z tłumem biec;
Głoszącą skargi, nikt cię nie pocieszy,
Póki nie zaczniesz wraz z wszystkimi wierzyć,
Kochać i cierpieć, i krwi swej kroplami
Ślady swe łączyć z naszymi śladami.

Wtedy pójść możesz z nami, lekka, cicha,
I ciernie drogi zarzucać kwiatami,
Spalone usta wilżyć nam z kielicha
Zroszonej lilii, i złotymi snami
Rozwidniać ciemne noce, w których wzdycha
Ludzkości serce pod losu głazami;
Naszej boleści być pocieszycielką
A dla wątpiących duchów siłą wielką.

Ty nam bądź zmysłów światłem, nie zasłoną,
Jasnym wyrazem rozlanej piękności,
Którą w kropelkach każde mieści łono,
Lecz jej objawić nie umie w całości;
Ty bądź piękności tej formą skończoną
I stój wytrwale na swej wysokości,
A przed poziomem ty nie zniżaj powiek:
Pieśń być powinna tak silna, jak człowiek.

I nie bądź tylko zbyt idealnym,
Który duchową część w sobie zgubił;
Ale idei bądź kształtem widzialnym,
Który myśl z formą doczesną poślubił;
W pochodzie wielkich rzeczy tryumfalnym
Co ślady swemi szlak postępu ubił,
Ty idź na przedzie, z sztandarem zapala,
Bo ty najbliższą jesteś ideału.

Stań się miłością, gdy śpiewasz z słowikiem;
Dla zagrożonych bądź siłą i męstwem;
Dla tych, co cierpią, stań się serca krzykiem;
Dla dusz niezłomnych roztętnij zwycięstwem;
Na egoizmu gruzach bądź płomykiem,
Co się wypala sił własnych męczeństwem:
I bądź tak zawsze na ziemi i w niebie
Sobą, a jednak nigdy nie dla siebie.

Widzisz?... co ze mną na ziemi się stało,
W znikomej formy powracam szkielecie
Ducha nie dałaś mi, a wiotkie ciało
Zwiędło mi w drodze, jak zerwane kwiecie;
Prawdy mi dałaś i siły—zamało:
A tylko życiem stać można na świecie,
I iść z zasługi podniesionem czołem,
I ogniem zawsze być, a nie—popiołem.

To twoja wina jest, iż tam się żalą,
Że im przynoszę osobiste troski,
I że nie umiem płynąć z duchów falą,
Że zatraciłam gdzieś pierwiastek boski...
Patrz! jak się skrzydła moje wstydem palą:

Na czole czuję potępienia głoski...
Tchnij we mnie ducha, ożyw mnie goręcej!..
O, pieśni moja, pójdz, nie grzeszmy więcej.
Szczęsna.

GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Pielski zanadto był sprytnym, aby zbyt otwarcie zwrócić przeciw sobie podejrzenie, że wędkę zarzuca wyłącznie na młodą mężatkę; manewrował zatem tak zręcznie w tym czworoboku pięknych kobiet, iż każda z nich, nie wyłączając mamy Okulskiej, uważała się poniekąd za atakowaną przez niego, a wszystkie razem godziły się w zachwycie, jaki potrafił wzbudzić sobą.

Pomiędzy trzema siostrami oddawna panowała cicha rywalizacja; każda powiadała sobie w duchu, że jest najładniejszą, chociaż żadna głośno nie przyznawała się do tego.

Po zamążpójściu Heleny, Klarcia i Resia prawem kolejnego następstwa zajęły od razu miejsca panien na wydaniu, ale obie nauczone „głupstwem” najstarszej siostry, jak nazywały małżeństwo jej z Morellem, postanowiły „mądrze” wyjść za mąż, według swoich pojęć o tym kroku, który kobietę powinien zawsze prowadzić do kariery.

Złośliwa z natury Klarcia nie zapierała się tego, że będzie trudną w wyborze i przebiegłą spróbuje, póki jej los nie nastroczy choćby księcia w złoczonej karocy; o złoczenie mniejsza, ale o karetę chodziło jej koniecznie. Nie pojmowała, jak można mieć męża i chodzić z nim pieszo, albo jeździć dorożką.

Irena, krócej Resią w domu nazywana, była Benjaminkiem po kądzieli mamy Okulskiej; jako najmłodszej, pozwalano jej najwięcej grymasić i chimerować, jako najwątleszą otaczano też szczególniejszymi przywilejami w rodzinie. Wolno jej było cały dzień boży próżnować, nie zajmować się niczem, sypiać do południa, a wstawać zaledwo do obiadu, po śniadaniu spożywanem w łóżku.

Pod tym względem obie panny z mamą pojmowały życie, jako szereg wygod, przyjemności i wypoczynku bez granic. Wszelkie zajęcia uważały za uchybienie dla kobiety „z lepszego świata”, chociaż wobec ludzi lubiły pozować na pracowite, utalentowane, zamęczające się nauką i gospodarstwem.

— Praca stworzona dla hołoty — mawiała Klarcia w poufnych pogawędkach z siostrą i matką. Nie wyszłabym nigdy za mąż za człowieka, któryby na swoje utrzymanie pracować musiał.

Irena skłonna była w tym punkcie do ustępstw.

— Mnieby to było wszystko jedno — wtrącała ze śmiechem — niechby sobie pracował po całych dniach i nocach, byłem ja tylko miała wszystko, czego zapragnę.

Matka z czułością całowała ją w głowę i mówiła z uczuciem dumy i zachwytu nad wszystkim, co jej pieszczoszki dotyczyło:

— Oj ty, ty moja filozofko!..

Ten praktyczny pogląd najmłodszej córki wydawał się jej filozofią życia najwłaściwszą.

Panny pod okiem mamy wyrastały na udzielne księżniczki, nie pytając: czy familijna kamienica stanowiąca całe ich państwo i skarbiec, udźwignie cały ciężar rosnącego z każdym rokiem bilansu; nie przypuszczały nawet, jak blizką była katastrofa w postaci strasznego deficytu.

Tymczasem tryb życia nie zmieniał się ani na jotę; tak... samo przyjmowano na *jour-fixach*, bywano w świecie, robiono zbytki uważane za konieczną potrzebę, wyrzucano pieniądze, które tylko się dało, a panny Resia i Klarcia nie próbowały nawet obuć własnymi rękoma swych zgrabnych nóżek przy wstawianiu, tylko posługiwały się zawsze pośrednictwem specjalnej kameriery, oddanej do ich wyłącznego rozporządzenia wśród licznej służby domu.

Okulska dokładnie i szczegółowo nie знаła może właściwego stanu swych interesów majątkowych, bo brzydziła się liczbami i rachunkiem, ale tyle wiedzieć musiała, że, czerpiąc ciągle z pełnego, musi się dna doczerpać w końcu. Czerpała wszelako z zamkniętymi oczyma i z całą lekkomyślnością marnotrawczyni, która liczy na jakieś niespodzianki z rogu obfitości.

— Żadnych zmartwień! — było jej hasłem; pochłubić się mogła też przed sobą, że wierna mu, nie pamiętała dnia, w którym ostatnie łyzy wyłała.

W dziwnem sercu tej kobiety istniało napozór jedno tylko uczucie: przywiązanie do córek; nie była to miłość macierzyńska w jej szlachetnym i właściwym znaczeniu; był to raczej jakiś pościąg estetyczny do wcielonego piękna w dzieciach, które stanowiły chlubę i pochlebiały jej próżności. Nie zdawała sobie sprawy z tego, ale gdyby która z jej córek była brzydką, Okulska nie byłaby jej mogła kochać z całym przekonaniem i szczerością tego uczucia.

Ta *sui generis* miłość macierzyńska wytwarzała też oryginalne pojęcia o obowiązkach i stosunku jej do dzieci. Nie żądała od nich w zamian żadnej wzajemności, nie liczyła na wdzięczność: wystarczało jej to, że ma te córki, które mi świat zachwyca; chciała być dla nich towarzyszką najmniej interessowną a najwygodniejszą w życiu.

— Każdy człowiek powinien być szczęśliwy według swego pojęcia i potrzeb — mawiała — ja moim dzieciom niczem szczęścia ich psuć nie chcę.

Największa powolność cechowała też tę matkę, która nie czuła w sobie ani siły, ani energii, ani chęci ostatecznie do narzucenia swej woli, swego poglądu, swoich życzeń własnym dzieciom; pozostawiała je naturalnemu rozwojowi i tym przypadkowym wpływom, które warunki i atmosfera domu rodzinnego wywierać mogły bez jej udziału.

Zdawało jej się, że w ten sposób spełnia najlepiej obowiązek matki w zupełnej bierności swojej.

Gdyby ją kiedy spotkał był zarzut, że źle wychowuje dzieci, byłaby szeroko otworzyła oczy ze zdziwieniem i spytała naiwnie:

— A jakżeż można lepiej?..

W jej przekonaniu natura stworzyła w Helenie, Irenie i Klarze, trzy anioły, a ona wychowywała każdą z nich na doskonałość; w głowie nie mogłoby się jej pomieścić, że ona wcale ich nie wychowywała, że je tylko stroiła, zdobiła, upiększała, karmiła, odziewała i zajmowała się niemi, niby stare dziecko pięknymi i kosztownymi lalkami.

Na swoje usprawiedliwienie miałaaby to, że jej samej inaczej nie chowano.

Jest pewien rodzaj daltonizmu i paraliżu moralnego, jak istnieje daltonizm i paraliż fizyczny; są ludzie, którzy oczyma duszy nie rozróżniają pewnych barw, nie posiadają pełnej władzy w swoim moralnym organizmie; do takich po części należała Okulska, a po matce odziedziczyła do pewnego stopnia i córki to kalectwo.

Znajomość z Pielskim stała się ważnym wypadkiem w domu świekry Filipa; odbijał on bardzo od całego otoczenia i sfery, w której żyły.

Pewnego razu Okulska, odwiedzająca bardzo rzadko zamężną córkę, i to tylko w nieobecności zięcia, unikając o ile możliwości spotkania z nim, zeszła po południu do Heleny z paczką biszkopików dla Stefanka, i zostawszy sam na sam z córką, spytała ją dyskretnie:

— Moja Helciu, czy tobie Pielski bardzo się podoba?..

Pani Filipowa w pierwszej chwili zarumieniła

się po same uszy, potem spojrzała na matkę badawczo zdziwionymi oczyma, i odpowiedziała równie zapytaniem:

— Dlaczego?

— Bo, widzisz, mam w tem moje przyczyny wiedzieć dobrze, co w danym wypadku uczynić-by mi należało.

— Nie rozumiem mamy. Pan Pielski musi się podobać każdemu.

— Ale tobie specjalnie? — nalegała matka.

Helena zarumieniała się powtórnie.

— Albo ja wiem — odrzekła wymijająco — gdybym była panną, poszłabym za niego za mąż. Dzisiaj niema co o tem nawet myśleć. Nie jestem już wolną — dodała z uśmiechem pokrywającym stłumione westchnienie.

— Niestety! — szepnęła półgłosem Okulska. — Widzisz — mówiła dalej, szukając widocznie wyrazów dla swoich myśli — przyszło mi do głowy, że on cię zajął trochę, co nie byłoby wcale dziwnem; człowiek tak miły, tak przystojny, z takim ułożeniem. Można by się w nim nawet zakochać, nie wiedząc o tem...

— Do czegoż to zmierza, moja mamo? — prze-rwała córka.

— Zaraz się dowiesz; z drugiej strony, jako matka pragnę szczęścia zarówno twego, jak Klarcii i Resi, i nie taję zupełnie, że gdyby Klarcia zechciała, starałabym się wszelkimi siłami w pa-nu Zygmuncie pozyskać zięcia, o jakim zawsze dla każdej z was marzyłam.

Helena poruszyła się nieznacznie.

— W rodzinie potrzeba nam głowy mężkiej — mówiła dalej Okulska — twój mąż, jak sama widzisz, nie do tego, odludek, fixat, zgodzić się nie potrafimy z sobą nigdy, bliższy stosunek z nim jest dla nas niemożliwy; tamten, to zupełnie co innego. Przysięgam, o ile mi się zdaje, dla Klarcii partya wyborna; oprócz własnego majątku po-zostanie mu pewnie ładna scheda po prezesie. Gdy-bys zatem uważała, że...

— Że co?

Okulska zkolei się zarumieniała, poznawszy, iż córka nie ze wszystkim zrozumiała właściwą intencją tego badania, i po chwili dodała:

— No, że Klarcia mogłaby wyjść za Piel-skiego...

Helena wstała pod pozorem odsłonięcia firanki zapuszczonej u okna i rzekła:

— Moja mamo, ja wychodząc za mąż, radziłam się tylko siebie; każda z nas ma to samo prawo. Jeśli Klarcia zechce pojąć za niego, a on da wam pozory, że miałby ochotę się ożenić, wy-prawicie wesele i zaprosicie mnie na staro-scinę.

Od tej rozmowy stanął jakby tajemny układ między matką a córką popierania kandydatury pana Zygmunta do ręki panny Klary, ale Helena po raz pierwszy uczuła, że będzie mogła w tej sprawie zachować tylko neutralność.

Jakoś jej dziwna i powiedzmy szczerze, nie-miłą wydawała się myśl pozyskania w Pielskim szwagra, pomimo całej życzliwości dla siostry. Niekiedy drażniło ją to przypuszczenie, że on ma być mężem Klary, skoro jej mężem nie zo-stał, i wówczas coraz częściej nasuwać się jej zaczęły porównania pomiędzy Filipem a panem Zygmuntem, porównania w umyśle i sercu każdej młodej mężatki niebezpieczne, a zwłaszcza mę-żatki, której więzy małżeńskie zbyt ciasnymi i niewygodnymi się okazały, która sobie powiadała, patrząc na swoje nowe życie:

— To nie to, czego chciała, czego się spo-dziewałam.

Płynęły tak dnie za dniami, jak chmury po je-siennem niebie; czasem trochę słonecznego blasku wytrysło, a zresztą szare mgły zalegały cały widnokrąg dla obojga niedobrych małżon-ków.

Filip z natury małowówny, coraz bardziej za-mykał się w sobie; wieczory spędzał nad książką, w swoim pokoju najczęściej, podczas gdy Helena bawiła u matki; póki światła dziennego starczyło przesiadywał najchętniej w pracowni. Palila go teraz jakaś gorączka tworzenia; w sztuce chciał znaleźć kompensatę tego, czego mu losy w ży-ciu odmówiły.

Jeden nowy szkic za drugim powstawał pod

jego dłutem, a teka zapełniała się rysunkami, studjami, projektami nowych pomysłów, które mu się cisnęły tłumem do głowy.

Najulubieńszem dziełem jego obecnie była fi-gura naturalnej wielkości, której dał nazwę: „Biednemu zawsze pod wiatr”; modelował ją ze szczególniejszym zajęciem i zamilowaniem.

Nędzarz, prawie nagi, w resztkach łachmanów, któremi się otulał, z odkrytą głową, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach pochylony naprzód, kroczył z widocznym wisłkiem przeciw burzy, która smagała go i chłostała wichrem; był jakiś rozpaczliwy upór w całej fizioognomii tego bieda-ka, który, woła żelazną czy fatalnością party na przód, szedł naprzekór orkanom, dmącym mu w twarz smutną, znędniającą, głębokim wyra-zem melancholii i rezygnacji nacechowaną; za-padnięte w dołach oczy zpod zmarszczonej brwi patrzyły gdzieś daleko przed siebie, jakby ba-dały niebo i żywioły: czy długo jeszcze tę walkę ze słabym wędrowcem toczyć zechcą.

Była to pierwsza kompozycja, w której Morelli spróbował być realistą, ale realistą formy jedy-nie; owa postać w glinie zdawała się żyć, czło-wiek ów zatrzymany w ruchu, walczący z wi-chem, jak z niewidomą jakąś potęgą, miał w so-bie jakąś tragiczną wielkość. Patrząc na niego, czekało się kiedy przeprze tę zaporę niewidzial-ną i pójdzie dalej—sam, opuszczony, ale zwy-cięzki, swoją drogą krzyżową.

Artyście udała się nadewszystko głowa mę-zczyzny, pełna szlachetnego wyrazu i wymownej charakterystyki; można było patrzeć w nią ca-łymi godzinami i zabrać ją oczyma ze sobą tak, jak się zabiera obraz słońca, kiedy się w nie dłu-go wpatrywało o zachodzie.

Filip nie chciał nikomu zwierzyć się z nowego pomysłu i dopóki zupełnie pracy swej nie ukoń-czył, drzwi pracowni zazdrośnie przed wszystki-mi zamykał. Brak mu było tylko jednego Sza-leja, który od kilku tygodni jakby w wodę wpadł; poeta nie pokazywał się na oczy przyjacielowi od czasu owej fatalnej sceny w Dołku. Przypuszczał, że szczegóły całego zajścia będą wiadome Fili-powi i unikał z nim spotkania; Filip zaś, stroniąc swoim zwyczajem od ludzi, a od kolegów przede-wszystkiem, jakby przeczuwał, że szczerzej ży-czliwości i prawdziwego uznania u nich nie znaj-dzie, zamknięty tylko w ciasnej sferze pomiędzy domem a pracownią, o skandalicznej awanturze między Szalejem a Bzikiewiczem nic nie wiedział dotychczas.

Przyzwyczajony był do dziwactw poety-orygi-nała i nie przypuszczał nawet, jak drogo okupił musiał biedny Szalej dowód przywiązania i przy-jaźni dla niego, karcąc surowo złe i uszczypliwe języki swawolnej opinii w Dołku.

Kilka razy pytał Pietrka: czy nie widział Szaleja?

— Nie wiedziałem — odpowiadał chłopak za zwyczaj, ale pewnego razu odważył się wtrącić:— możeby skoczyć i dowiedzieć się w mieszkaniu?...

— Albo ty wiesz, gdzie on mieszka?

— A wiem; odprowadzałem raz pana Szaleja, kiedy mu za ciężko było po gołoledzi dojść sa-memu do domu. Bardzo nie swój był wtedy.

Pietrek uśmiechnął się przy tych słowach; przypominał sobie bowiem komiczne wysiłki pi-janego poety, by na ślizkich flizach nie przewró-cić koziółka.

— Pietrek, trzymaj kundlu — wołał na niego co krok, opierając się mu całym ciężarem na szyi—bo jak brzdękniemy obaj, to czerepy z nas tylko pozostaną. O ciebie, głuptasie, fiaszka, ale we mnie jest przynajmniej kwarta najlepszego araku, tyś wachał kiedy arak?... pewno nie, a wi-dzisz!—arak to jest taka trucizna na mole, co człowieka gryzą. Nie śmiej się, małpiątko, bo bęcniemy plackiem jeden przy drugim, i świat się skończy.

Pomimo szorstkiego traktowania i nie bardzo wyszukanych epitetów, jakiemi Szalej lubił prze-zywać ucznia Filipa, chłopak instynktownie czuł sympatyą do poety i lubił go, sam nie wiedząc za co. Sprzykrzyła się i jemu dłuższa nieobecność Sza-leja.

— Może chory, albo co?—odezwał się po chwi-li—dobrzeby było zapytać.

Morelli umywał sobie ręce gliną powalane.

— Która godzina?—spytał.

— Szósta; jeszcze zdążę tam i napowrót.

— Czekaj, pójdziemy razem.

W małym parterowym domku z facyatką, mie-scił się w zaułkach dzielnicy żydowskiej szynk „pod kogutkiem”, utrzymywany przez pejsatego Chaimka, który jedyną izbę na poddaszu wynaj-mował poecie przeszło od roku; z brudnej, za-smieconej i zabłoconej wiecznie sieni po stro-mych schodkach wychodziło się na piąterko, gdzie w ciemnej sionce, wąskiej i niskiej można było namacać drzwi prowadzące do mieszkania Sza-leja.

W ciasnej izbie niebielonej od niepamiętnych czasów, o małym okienku wychodzącym na da-szek czerwoną dachówką kryty, przez które w dzień skąpo wdierało się światło, a w nocy bił odbłask gazowej latarni tuż pod oknem umie-szczonej, miał Szalej swój apartament, swoje *tuscolum*. Resztki sprzętów poruinowanych, przy-pominały raczej opuszczony lamus, aniżeli mie-szkankę ludzką; pod ścianą najwięcej miejsca zajmowała szeroka sofa, z której obicie dawno wstrzępkach poodpadało, a wysłanie zastępowa-ły pomięte, zbrudzone pliki gazet, papierów, bi-buły; pod oknem sosnowy stolik służył widocznie za biurko do pisania, za kredens i za gotownię zarazem, bo obok kałamarza, piór gęsiich, ksią-żek potłuszczonych i potarganych, stały podejrzanej czystości naczynia, leżał szczerbaty grzebień i szczotka, używana widocznie raz do czesania włosów, drugi raz do czyszczenia ubrania z ku-rzu, a może i obuwa.

Na ścianie wisiały skrzypce i ramki ongi zło-cone, jako jedyna pozostałość po obrazie, czy portrecie, który czyjaś ręką wyjęła z oprawy; mały żelazny piec z blaszaną rurą, wykręca-jącą się, jak boa ku jednemu kątowi izby, miał spełniać obowiązek ogrzewania tej komórki, ale zaniedbywał go najczęściej, bo poeta więcej wie-rzył w ciepło wewnątrz organizmu wytwarzane, ani z zewnątrz utrzymywane; zamiast palić w pie-cu, palił się sam alkoholem i zahartowany na wszelkie niewygody, podczas dojmujących mro-zów sypiał w nieogrzewanej izbie.

Mała kopcząca lampka naftowa ponuro oświe-cała to wnętrze, wypełnione atmosferą stęchli-zny jakiejś, śmiecia, kurzu i wilgoci.

Szalej w czapce na głowie, w paltocie wysza-rzanym leżał nawznak na papierowej pościeli swej pod ścianą, z rękoma w kieszeniach i drze-mał, kiedy po długim szukaniu klamki Morelli wreszcie drzwi otworzył i stanął na progu.

— Pan jest w domu? — odezwał się z sionki głos Pietrka.

Poeta leniwo podniósł głowę i, poznawszy Fili-pa, niemal szorstko zapytał:

— A ty tu po co?...

— Przyszedłem zobaczyć, czy żyjesz i co się z tobą dzieje, dziwaku?—odparł Filip, podchodząc do sofy i podając rękę przyjacielowi.

— Co się ma dziać... żyję, lichy wie na co, a dzieją się ze mną dziwne rzeczy.

— No, cóż takiego?

— Zdaje mi się, że zwaryowałem; od dwóch tygodni nie wyłażę z tego pudła na świat i tyle. Pewno się tam świat do mnie nie stęsknił, a ja do niego jeszcze mniej.

— No, przecież tam komuś cię zabrakło, skoro mnie z Pietrkiem masz u siebie — rzekł Morelli, rozglądając się po izbie, by znaleźć coś, na czymby usiąść można.

— Daj pokój—otrzągnij go Szalej — nie siadaj, stołek bez nogi. U mnie tu wszystko zdefektowa-ne, jak sam gospodarz.

Rozśmiał się szydlerczo i przeciągnął, wstając z sof.

— I czemuż tak zdziczałeś, żeś nawet do mnie nie zajrzał? — spytał znowu Filip.

Szalej spojrzał na niego bystro, i badawczo zpod oka.

— Jakto, czemu?... cóż ty nic nie wiesz? nie udawaj, boś zły komedyant—mruknął.

— Cóż mam wiedzieć?...

Powiedział to takim dobronudnym tonem, że poeta zawałał się przez chwilę.

— Ludzie ci nic nie mówili?...

— O kim?... o tobie?... nikogo nie widuję, za pracowałem się w tych czasach.

— To i lepiej.

Zaczął zapinać paltot i chodzić po izbie, niedowierzająco spoglądając na Filipa.

— Słaby byłem — mówił — żeby mnie trochę bolały, we łbie mi się klepki obruszyły i skrzypią dotychczas.

— Tu u ciebie duszno i zimno.

— A zimno.

— Możebyśmy wyszli trochę?

Szalej ramionami wzruszył niechętnie.

— Chodź, chodź, stary dziku, rozruszasz się trochę — nalegał Morelli, uderzając poetę ręką po plecach konfidencyjnie.

— A nie będziesz ty się wstydził iść ze mną przez ulicę?

— Kiedy prosto chodzisz to nie, ale kiedy kaczki zaganiasz, to wyznaję, że mi wstyd za ciebie — odrzekł ze śmiechem artysta.

Wyszli. Filip był rozmowny i weselszy jakimś towarzystwem Szaleja humoru mu dodało; miał się przed kim wygadać, wywnętrzyć: tak rzadko mu się to teraz zdarzało.

— Chodź, pokażę ci moją ostatnią pracę — mówił do Szaleja — podoba ci się.

W kwadrans później, obaj przyjaciele stali już w starym refektarzu; duża lampa z blaszanym rewerberem rzucała białe światło na glinianą postać kompozycji Filipa. W tem oświetleniu zdawał się ów martwy człowiek być żywą postacią a ostre cienie nadawały jeszcze więcej plastyki wszystkim szczegółom. Morelli zapaloną świecę trzymał w lichtarzu przy twarzy swego posagu, jakby chciał szczególniejszą uwagę zwrócić na nią Szaleja.

Poeta patrzył w milczeniu i podziwiał dzieło przyjaciela z jakimś niezwykłym skupieniem. Oczuło mu posępniało, brwi drgały, ramiona podnosiły się, jak u puchacza.

— Jakże ty to nazwałś? — spytał tym szepcetem, który wobec dzieła sztuki świadczy zawsze o głębszym wrażeniu.

— „Biednemu zawsze pod wiatr“ — odrzekł Morelli.

Szalej spojrział na niego wzrokiem dziwnie wymownym i rzekł, podając mu rękę do uścisku:

— To jest nas tu teraz trzech takich. *Tres faciunt collegium.*

W głosie i uścisku przyjaciela było coś, co na serce Filipa wionęło, jak ciepło słoneczne.

Zrozumieli się obaj w tej chwili.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Wiedeń w Październiku 1886 r.

Spóźniony sezon. — Pomnik Tegetthofa. — Kongres Orientalistów. — Peszt. — Spuścizna po Liszcie. — Voercesmarthy. Wspomnienia zmarłych. — Jubileusz kardynała Simora.

(?) Później, niż w inne lata, wrócił Wiedeń do domu na zimę. Jesień, zwykle tu najpiękniejsza pora, tego roku niezwykle sprzyjała dłuższemu pobytovi na wsi, w górach. Z każdym też rokiem towarzystwa turystów, alpinistów w coraz dalszym promieniu od Wiednia dokładają starań, żeby ułatwić i uprzyjemnić zwiedzenie austriackich i styryjskich Alp. Wyrażnie mówię: *zwiedzenie*, nie pobyt, nie mieszkanie w ślicznych okolicach, których wszystkie stolice Wiedniowi pozazdrościć mogą. Pod względem mieszkania dotąd prawie nic się nie dzieje, prócz zajazdów nader nielicznych, w których jedzenie bywa niemożliwe; niema ani domków, ani „pension“, żadnej w tym kierunku przedsięwzięcia. Tylko w tak zwanych „vorortach“ wiedeńskich są mieszkania niby letnie, tych atoli tylko wiedeńskie rodziny mo-

gą jako letnich używać, z jednego wyłącznego powodu, że można ztamtąd choćby dwa i trzy razy na dzień być w Wiedniu. Do tych vorortów należy również ogodzinę oddalone Baden i Voerslau.

Muszę tutaj z doświadczenia sprostować nieco wspomnienia wiedeńskie, które z przyjemnością w *Bluszczu* czytałem. Baden i Voerslau należą do miejscowości dla *nie* wiedeńczyków — najnieprzyjemniejszych. Są to poprostu przedmieścia wiedeńskich przedmieść, więc mają wszelkie letnie niedogodności miejskie, bez przyjemności wiejskich. Okolica ładna, lecz zaledwie przedgórska; takasamą ma się mieszkając w Wiedniu i wyjeżdżając na spacer; poza tem zaś mieszkanie, kurz brak żywności, drogość, towarzystwo przedmiejskie, chociaż z Wiednia i wyłącznie z Wiednia. Dopiero wtedy, gdy Wiedeń z tych *miast* wyjedzie, więc zaledwie od 20 Września do końca Października, jest tam pobyt możliwy, jeżeli kto sądzi, że winogrona lepsze są na miejscu, niż sprowadzane.

Zupełnie mylną i niezasłużoną sławę mają u nas Baden i Voerslau. Do zwiedzania nie tam niema, a mieszkać w lecie zgola nieprzyjemnie. Zwłaszcza, jeżeli można niedrożej a lepiej, przyjeźmniej, w prawdziwie dobrem powietrzu mieszkać, byle nieco dalej o jedną godzinę. Do takich miejscowości należy Reichenau, Semering, a teraz już i hotel na górze Sonnewendstein pod Semeringiem. Semering zaleca się nawet na zimę; takie tam zawsze spokojne, łagodne powietrze, a jeżeli drogo, to przynajmniej zato jest wszelka wygoda i komfort.

Ale pora wracać do miasta. Sezon rozpoczął się dwiema uroczystościami. Na wstępie do Prateru postawiono pomnik dla Tegetthofa, zwycięzcy zpod Lissy, admirała. Pomnik jest dosyć oryginalny, lubo pomysł nie nowy. Na wysokim cokole z granitu ustawione bronzowe grupy allegoryczne ilustrujące marynarkę i zasługi admirała. Zpomiedzy nich wzbija się granitowa kolumna o trzech kondygnacjach z bronzowych łodzi, które tworzą jakby żebra poziomo nad sobą ustawione. Na łodziach allegoryczne figury z wieńcami, a na kolumnie posąg admirała, w ubiorze rzeczywistym, z lunetą, jakby stał u steru. Autorem jest rzeźbiarz professor Kundmann. Wytykają pomnikowi wiele błędów, a zwłaszcza, że kolumna zamała; jednakże mimo to, wszyscy cieszą się, że pomnik stanął i jest rzeczywistą ozdobą miasta. Niebawem odsłoniętym będzie na obszernym placu między muzeami olbrzymi marmurowy pomnik cesarzowej Maryi Teresy; składki na pomnik Mozarta, który tu umarł w biedzie, już zamknięte; składki na pomnik marszałka polnego Radetzky'ego dochodzą już dwóch kroć; posąg Liebenberga, burmistrza z czasów oblężenia Wiednia przez Turków, już podobno gotowy. Zdobę się stolica składkowemi fundacyami.

Kongres Orientalistów miał również znamiona uroczystości. Odbywał się bowiem w auli nowego gmachu uniwersytetu; przewodniczył arcyksiążę Rainer, brał udział liczny tutejszy świat uczony, burmistrz miasta przyjmował uczonych z całego świata w sali nowego ratusza. A było to zebranie istotnie z całego świata, bo przybyli nawet prawdziwi Egipcjanie, Chińczycy, Indyanie, (bramin uczony Bandawkar), Amerykanie. Połaków było zapowiedzianych kilku, lecz przybyło tylko trzech: prof. Służewski, który miał odczytać o potrzebie badania filozofii indyjskiej. Sokołowski i Hanusz, który miał wykład o dyalektach armenkich, a zwłaszcza o żywej staroormiańskiej gwarze ludności w Kutach, w Galicji, co było dla kongresu zupełnie niespodzianem objawieniem. Dla szerszej publiczności najwięcej zajmującymi byli sami uczestnicy kongresu, Azjaci nawet w swoich ubiorach, z przedmiotów zaś rozpraw szczególniejsze dwa. T. z. papyrus arcyksięcia Rainera okazuje się niewyczerpaną skarbnicą; zawiera on setki rękopismów arabskich, greckich, rzymskich, jedną ewangelią, części klasyków i t. d. Papyrus ten będzie kilkadziesiąt lat świat uczony zajmować. Amerykanin Wyndham, egiptolog i inżynier, objaśnił między innemi swoje odkrycia w Puszczy Libijskiej, mianowicie jeziora *Moeris*, które długo za mityczne uważano. Okazuje się, że jest to dzieło patryarchy Józefa,

a największa inżynierska budowla starego Egiptu. W puszczy wzniesiono olbrzymi wał, opasano nim dolinę, stworzono łożysko jeziora. W czasie wezbrania Nilu spowadano do niego zbyteczne wody kanałami, w czasie posuchy rozlewano wody jeziora. Gdy czas i pustosząca ręka dziejów zburzyły kanały, jezioro wyschło, a Nil zalewa i zabagnia tysiące mil kwadratowych, które są gniazdem chorób, gdyż woda tam gnije. Wyndham powziął plan przywrócenia jeziora i dawnych kanałów, powiadło mu się pozyskać dla tego przedsięwzięcia rząd angielski, roboty już się rozpoczynają, znaczna część Egiptu ozdowieje, przybędą ogromne obszary urodzajnej ziemi i ogromne ztąd korzyści dla skarbu państwa. Wyndham zajmie godnie miejsce obok Lesseps'a, wskrzesiciela Kanału Suezkiego.

Minister oświecenia Gautsch rzucił na kongresie hasło: kto wie, czy studia Wschodu nie staną niebawem równorzędnie obok studyów klasycznych. Badania bowiem już teraz doprowadzają do zadziwiających rezultatów. Cywilizacja egipska przedstawia się już zupełnie inaczej; były tam urządzenia tak wykonane, jak rzymskie, prowadzono spisy ludności, księgi urodzin i umarłych, hypotekę własności i t. d. Inny uczony zauważył, że metoda nauki historii musi także uleść zmianom, obszar nauki rośnie; konieczną staje się metoda pogładowa, synchronistyczna, zestawiająca *równoczesne* dzieje i prace społeczeństw ludzkich po różnych krajach i częściach świata, prace cywilizacyjne, którym należy się to miejsce w nauce, jakie dotąd zajmują dzieje wojen, dynastji, polityka...

Na zakończenie kongressu szeik egipski Hamza Fethalla wystąpił na trybunę, ubrany w białą opończę, turban na głowie, safianowe pantofle — i odczytał po arabsku wiersz o 48 strofach; powitanie Wiednia. Deklamował żywo, patetycznie. Wiersz trzymany jest w bujnym stylu biblijnym. Przytoczę tu ustęp znamieny:

„Do ciebie biegnę najpiękniejsze miasto Zachodu; nogi moje zdają się mieć skrzydła;

W twoich murach przebywam radości wysokich syt;

Sławą twoją napełniony, ślę ci w tym głosie pobożne błogosławieństwo obcego przybysza:

O Wiedniu, wschodem mądrości słońca jesteś dzisiaj,

Z twojego widnokręgu światło ducha promienieje.

Witajcie imperatora Franciszka Józefa, potomka dawnych władców, na Wschodzie znanych.

Wysoko on ceni mądrość Wschodu,

Słowo jego jest rosą poranną dla mądrości ożywczej;

Uchylcie głowy ku czci władcy, głoscie wysokie słowa jemu na chwałę.

Niech Allah go strzeże i jego dom i księcia, co będzie dziedzicem jego.

Zawołał nas tu do swojego cesarskiego grodu, a myśmy przyszli ku jego chwale, odziani w bogatą ozdobę wiedzy...”

Na rok przyszły zaprosił Król Szwedzki (sam znakomity autor) kongres do Sztokholmu.

Sezon teatralny nie przyniósł dotąd, ani nowego, ani szczególnego. Odgrzebano niektóre dawne sztuki w Burgu, w Caritheater angielskie towarzystwo, dosyć mierne, produkowało wielce błazeńską operetkę Sulivana: „Micado, an der Wien;“ ma powodzenie operetka Milloeckera: „Vice-admirał;“ w operze dawano „Martę“, która od lat dwudziestu czekała na światło wieczorne: i to wszystko: jak na stolicę, bardzo mało. Lepiej się zaznaczyły wystawy obrazów, ale tylko obcemi utworami. W Künstlerhauzie wystawa *kilkuset* (400) akwareli i olejnych obrazów Hoffmanna. Są to znane krajobrazy, studia natury i szkice podróżne z Dalmacji, Istrii, Bosnii, Hercegowiny, z Alp, z Helgolandu, z Syltu, z Rygi i t. d. Wystawa ujawnia niesłychaną pracowitość i wielki dar spostrzegawczy. Akwarelle są robione biegle, olejna nieudolnie, zresztą masa zarówno imponuje, jak i nuży; lecz taka wystawa, niby spowiedź generalna, odrazu zdobywa dla

artysty imię rozgłośnie i zwabia kupców, o których w Wiedniu bardzo trudno. W Kunstvereinie ściągają publiczność słynny obraz Rochegrosse'a: „Jacquerie“, powstanie chłopów we Francji w XIV w. Obraz jest przerażającym, okropnym przez to, co się widzi, ale stokroć więcej przez to, czego się widzieć domyśleć musi. Bandy wtargnęły do zamku, zabiły już pana i zatknęły na pikę jego głowę i serce; tłoczą się do wnętrza. Zamek się pali, z okien bije łuna: dymy czarne ciągną się po murach. Kobiety i dzieci schroniły się do jednej izby: staruszka matka, żona, która pełza po ziemi za dziećmi,—a w drzwiach staje już dzika tłuszcza. Przerażenie, które zjęło te bezbronne ofiary udziela się widzowi; artysta obrał znakomicie chwilę; sytuacja straszna; niebawem tłuszcza zacznie mordować i znęcać się; widz musi biedzić za fantazją malarza, który stworzył dla niej piekielne horyzonty dzikości, okrucieństwa, wściekłości, rozpasań. Mordy, które poprzedziły, są niczem w porównaniu z tem, co teraz dzieć się będzie. Wszelkie szczegóły obrazu są przytem pracowicie wykończone. Rochegrosse dał się poznać w r. 1882 obrazem cesarza Viteliusa, którego motłoch ściga po ulicach Rzymu. Następnie wymalował scenę z oblężonej troi: Andromacha usiłująca wstrzymać Hektora od walki,—obraz pełen namiętnego, śmiałego ruchu, który wzbudził podziw. „Jacquerie“ ustaliła sławę artysty, któremu przepowiadają wytyczne miejsce w dziejach sztuki. Na obu wystawach jest zresztą dużo obrazów—dobrych, każdy z nich może dla właściciela być cennym i przyjemnym; trzeba, żeby takie *dobre* obrazy rozechodziły się po świecie, lecz są one naksztalt tysięcy powieści, które się pojawiają wszędzie; są między niemi pisane z talentem i pożądane, robią swoje; zawsze to jednak tylko powszedni chleb...

Sezon w Peszcie smutny, z powodu kilku równoczesnych epidemii... Obchodzono tam pamiątkę ostatniej tureckiej potrzeby, oswobodzenia Budy, przyczem starannie o Polakach zachowywano milczenie, jakby im tam nawet i wspomnień zadroszczono. Wielką wywieszono żałobę z powodu śmierci Liszta. Podaliście już wspomnienie o tej wyjątkowej osobistości. Donoszę tu kilka rysów, które jeszcze nie są znane. Liszt połowę czasu swojego poświęcał na korespondencję z całym światem, a ilekroć pisał do znakomitości, mierzył i ważył każde słowo, przyszykował najpierw koncept, który dopiero przepisywał, jeszcze gładząc. Kiedyś ta wymiana listów będzie, razem zebrana, dziełem nader cennem. Spuścizna muzyczna pozostała po nim nader obfita. Rękopisma, mnóstwo utworów nieznanych, nowych znajdujących się u przepisujących. Czeka na wydanie wielka w czterech tomach szkoła fortepianu. Oratorium „Ś-ty Stanisław“ zupełnie jest ukończony. Największe zaś dzieło pośmiertne, które już wydawcy byli otrzymali, jest to zbiór siedmiu utworów na fortepian, niby siedm portretów muzycznych, mianowicie nazwane są: hr. Ludwik Batyany, Franciszek Deak, baron Józef Eötvös, Alexander Petöfii, hr. Stefan Szechenyi i Michał Voeroesmarthy. Pod wezwaniem tych znakomych ludzi i patryotów, którzy byli niejako idealami Liszta, wcielił on w to dzieło wszystko najlepsze, na co go stać było, całą duszę węgierskiej muzyki i dziejów Węgier, a temsamem najlepiej dowiódł, oile sam czuł się Węgrem, jeżeli do ostatniej chwili życia tylko dla Węgier pracował. Do utworów tych dodany będzie także tekst objaśniający, niby komentarz. Węgrzy gorąco oczekują wydania, którem się zajmują Ta borszky i Parsz.

Ostatni z wymienionych, poeta Voeroesmarthy, zaliczony w Węgrzech do pierwszorzędnych, prawie nieznany jest za granicą. Zaradzi temu ogłoszony właśnie niemiecki przekład 32 jego utworów. Tłómaczem jest Hoffmann, professor prawa rzymskiego w Peszcie, a wielki wielbiciel tego poety. Węgrzy przyznają, że przekład równa się prawie oryginałowi, co do siły, wdzięku i wierności. Więc przekład taki może snadnie u nas posłużyć do zapoznania się z jednym z koryfeuszów literatury węgierskiej, która płynie swojemi, odrębnymi, oryginalnymi kierunkami. W ostatnich czasach występują coraz częściej w Wę-

grzech kobiety, jako powieściopisarki i autorki dramatyczne, które już na osobne studium zasługują. Do bieżącej kroniki należy jeszcze wspomnienie o kilku ludziach zmarłych i o jednym żyjącym.

Ze świata finansów i przedsiębiorczości ubyli tutaj dwaj ludzie, o których za życia tomy spisano po dziennikach. Dr. Jakób Rapaport ze Lwowa, prawnik bez kawałka chleba, doszedł tu do fortuny milionowej. Był to człowiek pełen sprzeczności, opanowany zawsze gorączką robienia pieniędzy i pomysłów, twórca wielu banków i grabarz wielu: śmiały, bezwzględny, nieprzebiegający w środkach, był zarazem postrachem giełdy, jak i główną sprężyną nadającą jej ruch. Bano go się i nienawidzono, a zazdrościono mu milionów w pałacu. Równocześnie człowiek ten wyśoko wykształcony lubował się w sztuce i w literaturze, nie żałował pieniędzy, które przecież były jego ideałem, i w pałacu jego są po ścianach makarty i wiele obrazów polskich artystów; posiadał fabrykę papieru i hutę żelaza, a zarazem tygodnik „Neue illustrierte Zeitung“, który go wielokosztował, gdyż bądźco bądź w Austrii żadne większe niemieckie wydawnictwo się nie udaje. Posiadał też dobra, był kollatorem kilku parafii, a na pogrzeb jego przybyli z dobrej woli czterej proboszczowie. Człowiek ten był wzorowym mężem i ojcem, a to wszystko nie przeszkadzało mu do spekulacji finansowych, które go pochłaniały. Pozostanie on tutaj na długo typem spekulanta genialnego, który, gdyby nie nagła śmierć, mógł dojść albo do wyżyn rotszyldowskich, albo do żebraczego kija....

W zakresie przedsiębiorstw podobnym był do niego Offenheim, który budował kolej lwowsko-czerniowiecką. Oskarżony o nieczyste praktyki został przez sąd przysięgłych uwolniony. Rozprawa trwająca kilkadziesiąt dni była europejskim wypadkiem, gdyż ministrowie i książęta i inni dygnitarze byli powoływani i niejedna karyera została przez ten proces złamana. Również działalność Offenheima została podcięta. Człowiek genialny, pomysłowy, skazany był odtąd niejako na bezczynność, szarpał się jak lew w klatce. Zostawił rodzinie kilka milionów.

W samotnym zamku nad Dunajem umarł ostatni minister całej Austrii i ostatni jej kanclerz hr. Beust. On to po klęskach Austrii w wojnie z Niemcami dźwignął ją z toni, robiąc ugodę z Węgrami, którym konstytucja została przywróconą, a państwo podzielone na dwie równorzędne połowy. Żywot tego człowieka zdolnego i dobrego, miłośnika sztuk pięknych, poety i kompozytora był tragiczną walką ze złym duchem Europy, z Bismarckiem. Przegrał Beust, musiał się ugiąć, nie mógł obronić Francji, musiał ustąpić i amrzeć, jakby w zapomnieniu. Pozostawił obszerne pamiątki.

Węgrzy obchodzili 50-letni jubileusz kapłaństwa ks. kardynała Simor'a, arcybiskupa Ostrzykonia (Gran), prymasa Węgier. Było to w takich Węgrzech święto; z gratulacjami pośpieszyli do Granu ministrowie i sam król węgierski. Można ztąd wnosić, że jest to osobistość niezwykła. Węgrzy czczą go jako kapłana wzorowego, karnodzieję złotoustego, poważnego pisarza, wydawcę monumentów, polityka i patryotę, który działając cicho żyje ofiarnością, rozszerza głosławieństwo, koi właśnie, wysoko trzymając sztandar miłości. Wydano album, w którym zestawiono dobroczynną jego działalność. W latach od 1857 do 1886 wydał on na kościoły i inne budowle złr. 1.327.974; na szkoły i fundacje szkolne złr. 1.220.786; na stowarzyszenia i różne instytucje złr. 159.780; na szpitale i różne humanitarne cele złr. 1.276.228. — Razem złr. 3.984.768.

Ale to nie wszystko, to tylko nadzwyczajne wydatki; stałe wypłaty kasy jego na wsparcie zbioru it.d., wynoszą rocznie złr. 100.000; tak, że ćwierć miliona rocznie na cele publiczne wydaje. Niezmierną położył zasługę około podniesienia wychowania dziewcząt, które było w Węgrzech zaniedbanem. Stolicę prymasa nazywają teraz Węgry „Mały Watykan.“ Lecz skąd czerpie ten mąż takie fundusze? Prostu z oszczędności i pracy; jest on znakomitym agronomem, przemysłowcem, zdwoił dochody z dóbr kościelnych,

a sam zawsze jest biedny, nigdy nie ma pieniędzy, gdy chce ubogiego na ulicy obdarzyć.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Przejsie tajemniczych ciał czarnych przed tarczą słoneczną. — Piorun w fabryce Gobelinów. — Promieniowanie nocne w czasie pełni księżycowych przyczyną szkód w rolnictwie. — Jak należy obchodzić się z lampami naftowymi? — Stosunki zachodzące między ozonem a epidemiami. — Sposób wytopienia szkodliwych gruntem skrzypów. — Korzyści wynikające z żywienia inwentarza żywego pokarmami gotowanymi. — Zbadanie Afryki równikowej, przez panów Capello i Ivens'a. — Podróż Brazzy do Afryki. — Nowo-wykryte źródła Mississipi. — Obelisk Waszyngtona. — Waselina zastępująca masło.

Astronom francuski Trouvelot, obserwując słońce za pomocą czterociałowej lunety, dostrzegł osobliwsze zjawisko, a mianowicie: ciała czarne i ciemne, przesuujące się przed tarczą słoneczną. Jakkolwiek ciała te były bardzo małe, niektóre z nich wszakże przedstawiały dość okazałe wymiary.

Szybkość tych ciał nie była jednostajną; jedne z nich poruszały się żywo, inne całkiem powolnie. Przesuwanie się ich przed tarczą słoneczną nie odbywało się regularnie; zachodziły w tym ruchu chwile przerwy, podczas których nie można było dostrzedz ani jednego ciała, to znowu występowały całe ich roje. Przytem Trouvelot dostrzegł, że jak tylko jedno przejawiało się ciało, podążały tuż za niem liczne ich rzesze.

Jakkolwiek przeważnie ruch ich zachodził w kierunku od wschodu na zachód tarczy słonecznej, to jednak niektóre ciała zbaczały owiele z tej linii.

Droga, jaką przebiegały przed tarczą słoneczną była wielce różną. Bieg jednych, i to w największej liczbie, odbywał się po linii krzywej, bieg drugich po linii wężykowatej lub falistej. Po większej części kształt tych ciał był mniej, więcej okrągły, przejawiał się wszakże i trójkątny, a nawet więcej skomplikowany. Jedno z tych ciałek trójkątnych zdawało się spadać ku ziemi, w kierunku nieco zbaczającym od pionowego. Spadek ten był bardzo powolnym z wahałowaniem to ku prawej to ku lewej stronie podobnym do zanurzania się w wodzie cienkiej tarczy metalowej.

Przebieg tych ciał trwał nie dłużej nad czterdzieści minut, a liczba ich w upływie tego czasu dochodziła pięciuset lub sześciuset. W czasie obserwacji Trouvelot zaznaczył prąd wiatru umiarkowany wschodni: ciała więc przyjmowały kierunek do niego równoległy. Temperatura była wielce podniesioną.

Tegożsamego dnia po południu, dwa tylko ciała przeszły przed tarczą słoneczną, a w kilka dni potem przesunęły się w małej ilości ciała ciemne.

Czy ciała te należały do przestworów niebieskich, czy były asteroidami, zbiorowiskiem gwiazd spadających, w przebiegu między słońcem, a ziemią? Czy też poprostu były to owady unoszące się w atmosferze, lub pyły pędzone przez prąd wietrzny? Na te pytania nie znalazł Trouvelot żadnej odpowiedzi.

Możnaby sądzić, że owe ciała stanowiły pyły, lub owady, z tego względu, że ruch ich odbywał się równoległy od kierunku wiatru, oraz, że temperatura była wysoką, a więc sprzyjającą działalności owadów. Wszelako przyjmując to przypuszczenie, słusznie możnaby mu zarzucić: dlaczego zjawisko to nie powtórzyło się weale?

Trouvelot od lat może dwudziestu obserwuje prawie codziennie tarczę słoneczną przez kilka godzin, a jednak nigdy nie dostrzegł podobnego zjawiska.

W rezultacie więc obserwowane przez niego ciała pozostają niewyjaśnionem zagadnieniem.

W miesiącu Czerwcu dolinę Bièvre nawiedziła straszliwa burza; piorun padł w pobliżu zakładu farbiarskiego Gobelinów, w którym znajdowały się tkaniny wpółzabarwione karminem i indygiem. Była to Niedziela, w Poniedziałek dnia następnego wracający do fabryki robotnicy z nie-małym zdziwieniem dostrzegli, że wszystkie materye wełniane zostały odbarwione. — „To nie siarka zniszczyła barwę—mówiono—siarka jednak była sprawczynią tego zjawiska, bo przecież w czasie burzy kwas siarczany dał się uczuwać w atmosferze.“ Rzeczywistą przyczyną odbarwienia tkanin był ozon. Wiadomo, że elektryczność oddziaływała na tlen zawarty w powietrzu i zmienia go w ozon, posiadający teżsame własności, co tlen, tylko w nierównie wyższym stopniu. Pomiędzy innemi własnościami ozonu chemia wykryła jego władzę odbarwiania tkanin. Jeżeli z drugiej strony zwrócimy uwagę, że karmin i indygo dają barwę wielce znikomą pod wpływem światła słonecznego, znajdziemy wyjaśnienie tego osobliwszego zjawiska.

Zbiory rolne wielkie niekiedy ponoszą szkody, wskutek nocnych przymrozków, zachodzących najczęściej w czasie pełni księżyca. Z tego to względu rolnicy poczytują go za sprawcę zniszczenia, nie podzielałaj wszelako w tej mierze ich opinii meteorologowie.

Wiadomo im dobrze, że przymrozki te pochodzą z promieniowania nocnego, to jest z oziębienia, jakiemu ulega ziemia podczas nocy, gdy ta jest pogodną, a oziębienie to może obniżyć temperaturę o kilka stopni poniżej zera. Zdarza się też, że w czasie pełni księżycowej, ciepłomierz wykazuje różnicę dochodzić mogącą do dwudziestu stopni.

Widzimy ztąd, że przymrozki są następstwem nieuniknionem tej nagłej zmiany w temperaturze.

Przyczyna chłodu nocnego, którą tu zaznaczyliśmy, znana jest oddawna uczonym, którzy wiedzą, że z promieniowania ziemi i przedmiotów na jej powierzchni wynika ten skutek. Wszelako uczeni dotąd nie mogli sobie zdać sprawy z tego: dlaczego promieniowanie jest silniejszym w końcu miesiąca Kwietnia i w początkowych dniach Maja, niż w każdej innej porze roku? Przyczynę tak długo i bezowocnie poszukiwaną tego silnego oziębienia się ziemi wykrył słynny fizyk francuzki Jamin i wyjaśnił ją na jednym z ostatnich posiedzeń Paryzkiej Akademii Nauk, w której zajmuje od lat wielu posadę stałego sekretarza.

Aby lepiej ocenić doniosłość odkrycia Jamina, odwołamy się do reformy proponowanej przezeń w meteorologii. Dotąd oceniano ilość wilgoci zawartej w powietrzu atmosferycznem, biorąc stosunek siły sprężystości obserwowanej do siły maksymalnej, jaką miałyby para wodna w tejże temperaturze, gdyby powietrze było przesyconem wilgocią. Nazwano to *wilgotnością względną*.

Otóż w danem powietrzu stałego składu stosunek ten zmienia się odpowiednio do stosunku pary, do wysokości i ciśnienia barometrycznego, a głównie do temperatury.

Chcąc poznać te ilości zmienne, potrzeba byłoby wyłączyć wpływy perturbacyjne ciśnienia, wzniesienia i ciepła. Tego dokonał właśnie Jamin.

Gdy chemik analizuje powietrze, oznacza stosunki tlenu, azotu i kwasu węglanego, a dla uzupełnienia analizy dodaje stosunek pary wodnej. Ponieważ ta para jest gazem ulegającym tymże samym prawom zgęszczania się więc rozszerzania jak i inne gazy, niema żadnej zasady do nieza-stosowania do niej tychżesamych środków. Wypada więc, wykreślić z tablic meteorologicznych termin *wilgotności względnej*, i zastąpić go terminem: *zasób hygrometryczny*, który jest stosunkiem wagi pary wodnej do wagi powietrza suchego. Według tej zasady Jamin badał stan hygrometrycznego, notując go od najniższych warstw atmosfery aż do najwyżej wzniesionych, a to posługując się balonem, i oznaczył wagę pary wodnej, odpowiadającą wadze powietrza danego.

Z obliczenia takiego otrzymuje się rezultaty

dokładne. W miarę wznoszenia się w górne warstwy atmosfery, zasób pary wodnej zmniejsza się. W miesiącu Kwietniu, w wysokości 4,000 metrów, niema ani śladu pary wodnej w powietrzu. W miesiącu Czerwcu Jamin znalazł parę wodną, nawet w wysokości 7,500 metrów, i to w stosunku dość znacznym. W Sierpniu para wodna jeszcze w większym stosunku zapełnia powietrze, aż do wysokości 4,500 metrów. Masa pary wodnej powietrznej zmniejsza się zaczyna od miesiąca Września aż do Kwietnia, to jest do pory wiosennej, w której ilość pary jest najsłabszą i dosięga do najmniejszej wysokości w atmosferze. Od Kwietnia znowu do Sierpnia, natężenia powiększa się, a następnie zmniejsza, w czasie, jaki wyżej określiliśmy. Otóż wiadomo, że przez parę wodną niełatwo przechodzi ciepło; dzięki też jej ziemia zachowuje swój ciepłik. Rozumie się, że para o tyle jedynie skutecznie nie może powstrzymywać promieniowanie powierzchni ziemi, o ile znajduje się w powietrzu w zasobniejszej ilości.

Nie możemy się więc temu dziwić, że corocznie rośliny cierpią wiele od przymrozków, w czasie pełni księżycowych, zwłaszcza gdy niebo jest pogodnem i wiatr północny panuje. Różnica w temperaturze między południową porą dnia a środkową porą nocy może dochodzić wówczas dwudziestu stopni, jak to zaznaczyliśmy wyżej.

Skrzypy, jak wiadomo, są wielce szkodliwemi dla gruntów wilgotnych; wszystkie dotąd zastosowywane środki dla oswobodzenia się od tych roślin pozostały bez skutku, jakkolwiek były dość kosztownemi.

Obecnie, jak zapewnia Gossin, agronom, w okolicach Beauvais pozbyto się skrzypów środkiem bardzo prostym. Polega on na uprawianiu przez dwa lub trzy lata gruntów zaplonych tą rośliną, a następnie zasianiu na nich mieszaniny złożonej z włoskiego rajgrasu i koniczyny białej. Proces to łatwy, przystępny dla każdego rolnika i byłoby pożądanem, aby wszędzie, gdzie rozgościły się skrzypy ze szkodą użytecznych roślin, znalazł zastosowanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, w Październiku 1886 r.

(Dokończenie).

Dramat ten, pełen wzniosłych uczuć, wyrażonych gorącym słowem, zwrócił uwagę poważnych krytyków. Jedni powitali w nim zapowiednię pomyślnego zwrotu na scenie, tak dziś sponiewieranej skandalami życia powszedniego, inni podnoszą metaliczny dźwięk wiersza i akcją umiejętnie poprowadzoną. Nie brak jednak niechętnych głosów powstających przeciwko autorce.

„Po co nam wskrzeszać te przestarzałe rzeczy, mówią niektórzy, mamy już Machabeuszów La Mothe'a i Guiraud'a, szczęściem dziś zapomnianych. Co nas zresztą obchodzi fanatycy izraelscy i zagorzała ich matka.“ Są i tacy, którzy zarzucają autorce, czemu tak nieloicznie zakończyła swój dramat, dlaczego Jan nie przyjął tronu wraz z ręką pięknej Myrry? Pozwoliliby chętnie na anachronizm, sprzeczny z Biblią, byleby rozwiązać rzecz w sposób praktyczny, zgodny z ich poziomym poglądem. Rozczulają się oni nad Myrrą zakochaną w Janie, i nad rozmówianym w córce Antyochem, a mienią przesadą patryotyczne słowa matki Machabeuszów, których dziś, niestety, zrozumieć nie umieją.

Autorka rozczytała się widocznie w Corneille'u, a jeśli nie danem jej było doścignąć orla w locie, wielka niemniej zasługa jej, że się oderwała od poziomu i obróciła oczy ku wyższemu ideałom.

Przypomnijmy to, co w roku zeszłym wyrzekł professor Boissier w dwustoletni jubileusz Corneille'a, przy pomniku odkrytym w Rouen.

„Nasz wiek, rzekł wymowny akademik, wiele zaprawdę skorzystać może, rozczytując się w dziełach kornelowskich. Są choroby, na które jedynym środkiem pobyt na szczytach gór, wśród czystej i orzeźwiającej atmosfery. Azaliż w chwili, kiedy literatura nasza chyli się do poziomu, nie byłoby zdrowo i pożytecznie ożywić ją technieniem wielkiego poety, który może podnieść ją na wyżyny? La Bruyère chwalił Corneille'a za to, że malował ludzi, jakimi być powinni; my tymczasem mamy dziś szkołę przedstawiającą ich gorszymi, niż są w rzeczywistości.“

„Dzieła prawdziwie popularne są te, które wyrwują tłum choćby na chwilę z bagnisk powszedniego życia, które pocieszają go, podnoszą, ukrzepiają, odkrywając przed nim szerszy widnokrąg. Takie dzieła jedynie mają przyszłość. Co zaś do autorów, którzy, wypowiedziawszy walkę ideałom, usiłują poniżyć się, a zarazem poniżyć społeczeństwo, i marnotrawią talent na malowanie brzydoty i skaz natury naszej, ci mogą zjednać sobie jednodniowy poklask współczesnych, ale nie pracują dla potomości.“

Znane przysłowie: „Nim słońce wejdzie, rosa oczy wypije“, na nikim nie sprawdziło się lepiej, niż na genialnym kompozytorze francuzkim Wiktorze Berliozie. Wprawdzie słońce weszło nad grobem mistrza i dziś jasnym promieniem oświeca spiszowy pomnik, wzniesiony ku czci jego na placu Vintimile, obok domu, w którym przeżył długie lata, samotny, zbolący, niepoznany, niemal wzgardzony przez swoich.

Na łożu śmierci, chwilę przed skonem, artysta wyrzekł do obecnych: „Teraz przynajmniej grać będą moje kompozycje!“ Sprawdziły się te słowa. W rok potem artyści urządzili wielki festiwal na cześć mistrza, wykonali celniejsze ustępy z jego utworów. Ogół słuchał ich z uniesieniem i gorącą zmarłemu wyprawił owacy; i odtąd stało się to, czego Berlioz napróżno oczekiwał i imię jego zdobyło popularność.

Urodzony w roku 1803, Berlioz należy do tego zastępu nowatorów, którzy, jak Wiktor Hugo i Dumas w dramacie, Delacroix w malarstwie, stoczyli walkę z przestarzałą rutyną i utorowali sztuce nowe na przyszłość drogi.

Zpomiedzy tych nowatorów poeci tylko zdolali odrazu podnieść zwycięzki sztandar. Delacroix, wysławiany przez jednych, chłostany przez drugich, dłużej musiał czekać aż wybije godzina tryumfu. Nie doczekał Berlioz tej godziny. Świadomy siły własnej, przeżył dnie, trawiony zgryzotą. Nie poprzestał on na uznaniu szczupłej garstki poważnych znawców, nie dość mu było palm akademickich, w które się przystroił, powołany na członka akademii sztuk pięknych. Za nic ważył ów zaszczyt, że redakcyja Debatów przez lat trzydzieści miała w nim jedynego sprawozdawcę z ruchu muzycznego: Berlioz pragnął oklasków, pragnął popularności, a tej otrzymać nie mógł, gdyż ogół nie dorósł jego miary.

Nie wystarczyły artyście owacy odbierane we Włoszech i po wielkich miastach niemieckich; pragnął on hołdu ziomków, a tego Francuzi stale mu odmawiali. Kiedy, obsypyany wieńcami i darami monarchów, powrócił do Paryża i przedstawił pierwszą swą operę *Benvenuto Cellini*, Paryżanie wygwizdali ją bez litości. Tenżesam los spotkał *Polepienie Fausta*, symfonią dziś grzmieciami obsypywaną oklaskami. Później, w lat dwadzieścia po pierwszej próbie, Berlioz wystąpił z operą *Trojanie* która, mimo wielkich piękności, upadła po kilku przedstawieniach. Ostatni ten pocisk dobił do żywego artystę. Wraz z tem upokorzeniem, spadł na niego stokroć dotkliwszy cios: stracił ukochanego syna.

Nie przeżył Berlioz tych boleści; siły nagle go opuściły: umarł w roku 1869.

Na pochmurowym tle życia wielkiego artysty były jednak połyski słoneczne. Najpiękniejszą dla niego chwilą była niewątpliwa ta, kiedy po odegranej przez orkiestrę partycyi *Harolda*, Paganini, obecny na koncercie, chory, pozbawiony już głosu, wsparty na rękę syna, przywlokł się na scenę, pociągnął za sobą Berlioz, uklęknął

przed nim i zalany łzami nazwał go drugim Beethovenem.

Jakim sposobem, pytamy, takie uznanie Paganiniego, nie otworzyło oczu Paryżanom na geniusz Berlioza? Niechęć ku niemu tak była wielką, że żaden z poetów nie chciał ofiarować libretta, do jego symfonii i oper.

Sam też tworzyć je musiał, a nieoswojony z formą wiersza, pisał je niepoprawnie. Widzimy to w lirycznych poematach do *Trojanów* i *Fausta*.

Jeśli Berlioz nie umiał składać wierszy, wybornie za to pisał prozą. Równie samodzielny w poglądach na sztukę, jak w muzycznych kompozycjach, na nowe tory wprowadził krytykę muzyczną. Rozprawy jego o Glöcku, Weberze, Beethovenie nakreślone są mistrzowskim piórem. O Wagnerze wyrażał się cierpko lub pogardliwie milczeniem zbywał jego utwory.

Zapoznany, ścigany chłostą, szarpał też i drugich bez litości i szydził z dyrektorów opery, oskarżał publiczność o nieuctwo i zacofanie, słowem: nie przebaczał nikomu. Trudno mu było pozyskać za życia popularność, której tak był spragniony.

Inauguracja pomnika odbyła się w d. 17 Października z wielką uroczystością. Gdy odkryto spiżowy posąg, orkiestra zagrała tryumfalny marsz z opery *Trojanie*, owej opery niegdys wygwizdanej, dziś zaliczonej między pierwszorzędne dzieła geniuszu francuskiego. Piękny posąg wykonał młody artysta Alfred Leloir. Przedstawił on Berlioza w stojącej postawie, z łokciem wspartym o pulpit, jakby mistrz dyrygował orkiestrą.

Ernest Reier, który zajął podwójnie miejsce Berlioza: jako członek akademii sztuk pięknych i jako sprawozdawca z muzycznego ruchu w *Debatach*, piękną mową uczcił poprzednika; godnie ocenił geniusz jego i niezmordowaną wytrwałość.

Po kilku mowach i wydeklamowanej poezji, stary przyjaciel Berlioza podziękował zebranym w imieniu rodziny i oznajmił, że w roku przyszłym 9-go Marca, w ośmnastą rocznicę śmierci mistrza, nastąpi na cmentarzu Montmartre inauguracja grobowego pomnika, nad którym pracuje p. Cyprian Godebski. Komitet, który zajmował się zbieraniem podpisów, zamierza, oprócz tego ze zbývającego funduszu ustanowić doroczną nagrodę konkursową za najlepszy utwór muzyczny. Rozporządzać nią będzie Akademia Sztuk Pięknych.

Jeśli pomnik dla Berlioza, wzniesiony w siedemnaste lat po skonię artysty, wydaje nam się cokolwiek spóźnionym, cóż mamy powiedzieć o tym, który Rumunowie, aby przypomnieć światu starożytny swój rodowód, wznoszą obecnie dla poety Owidyusza, zmarłego przed ośmnastu wiekami? Za kilka tygodni nastąpi inauguracja pomnika, w mieście Küstendže, blisko ujścia Dunaju. To miasto leży na gruzach warownego grodu Tomi, gdzie przebywał Owidyusz, edyktem Augusta skazany na wygnanie do kraju Getów.

Przegląd francuski, wychodzący w Peszcie, *Revue d'Orient*, z uniesieniem opisuje ów pomnik, wykonany dłutem włoskiego rzeźbiarza Ferrari. Dzieła sztuki, tak wielkiej doniosłości, nie posiadała dotąd, jak mówią, Rumunia. Wyraz oblicza ma być nadzwyczaj piękny, draperye ułożone z harmonijnym wdziękiem. Poeta, zadumany, z głową smutno pochyloną, w prawem ręku trzyma *stylium*, w lewem napuszczoną woskiem tablicę.

Na piedestale wyrity czterowiersz poety wygnańca: „Tu leży śpiewak tkliwej miłości, Owidyusz Nazo, który padł ofiarą zamięłowania w poezji. Przechodniu! jeśli kiedykolwiek kochałeś, powiesz mijając to miejsce: Niechaj prochy Owidyusza spoczywają w spokoju.”

W ostatnich elegiach swoich, poeta wielokrotnie wspomina ów gród Tomi, gdzie Rumunowie, dumni z rzymskiego pochodzenia, składają dziś hołdy i wieniec.

Kiedy książę Aumale uposażył tak hojnie Instytut i zapewnił los tyłu ubogim literatom i artystom, inna znów donacja, w innej sferze społecznej, ubezpieczyła przyszłość tysiącom pracujących a ucziwych rodzin. Mówimy tu o donacji

pani Boucicaut, wdowy po założycielu wielkiego magazynu *Bon Marché*. W dniu 18 Października szlachetna ta kobieta złożyła przed rejentem cztery miliony franków, na zasilenie kasy emerytalnej dla wysłużonych urzędników zakładu swego. W roku zeszłym na tenże sam cel złożyła już milion. Od tak wielkiej summy procent wymagalny na rzecz skarbu wynosi do 600,000 franków. Pani Boucicaut wypłaciła sama tę kwotę.

Ogromny ów zakład, w którym do trzech tysięcy osób stołuje się codziennie a blisko tysiąc mieszka, należy do osobliwości paryżkich. Zaczyna wdowa, nietylko, że z macierzyńską troskliwością czuwa nad dobrobytem i przyszłością pracującą tu młodzieży, ale co więcej ma na uwadze umysłowe jej wykształcenie. W tym celu na wieczory zimowe urządziła lekcje obcych języków fechtunku, muzyki i t. p. Często młodzież urządziła tu koncerty, w których biorą udział i artyści paryżcy.

Dobroczynność pani Boucicaut znana jest i za obrębem Paryża. W Fontenay-aux-Roses, gdzie przebywa zwykle przez lato, ufundowała dom przytułku dla starców. W rodzinnem miasteczku Verjus w Burgundii założyła i własnym kosztem utrzymuje szkoły dla chłopców i dla dziewcząt. W Beleye, rodzinnem mieście zmarłego męża, zasiliła szpital szkodzą donacją. Parę miesięcy temu czytaliśmy w dziennikach, że na instytucję Pasteura ofiarowała 150,000 franków.

Wobec takich dowodów dobroczynności Paryżanie patrzą z żywym zajęciem na magazyn *Bon Marche* i garną się tłumnie w jego progi, aby licznymi zakupami utrzymać w kwitującym stanie tak piękną i pożyteczną instytucję.

Sew. Duchńska.

Kronika działalności kobiecej.

— Szkoła malarstwa dla kobiet, którą zamierza otworzyć p. Ludwik Wiesiołowski, mieścić się będzie w gmachu Resursy Obywatelskiej. W dawnej pracowni zmarłego malarza, Alexandra Lessera, a którą obecnie zajął na ten sam użytek p. Wiesiołowski. Zgromadzone przezeń w czasie artystycznej podróży, odbytej po Włoszech, liczne studia i szkice staną się ważnym materiałem pomocniczym dla szkoły, która wedle nakreślonego już dla niej planu otwartą będzie dla uczennic codziennie od godziny 11 rano, do 3 po południu. Te cztery godziny dnia przeznaczone są na naukę malarstwa kolorystowego, wieczorem zaś przy odpowiednim oświetleniu odbywać się będzie nauka rysowania z modeli. Oświetlenie sztuczne ma być korzystniejszym dla tej gałęzi nauki, przez wybitniejsze cienie i światło, wśród których model ukazuje się oczom rysującego.

— W dniu drugiego listopada rozpoczęła się praktyczna nauka pszczolnictwa i ogrodnictwa, tak dla kobiet jak mężczyzn w Muzeum pszczolniczym na Koszykach. Co niedziela od godziny 1-jej, co środa i piątek od godziny 5-tej wykładane będzie pszczolnictwo. W sobotę i czwartki od godziny 10-ty z rana odbywać się będą wykłady ogrodnicze. Prócz tego praktykantki, podobnie jak praktykanci, mają codziennie wolny wstęp do warsztatów uli, oraz szklarni i cieplarni zakładu.

— Z dniem 31-go paździer: skończył się w Piotrkowie letni kurs koronek. Rozpoczęty 1-go maja, liczył uczennic 19, że przeciw trzy z nich ubył w ciągu nauki, skończyło kurs 16. Oprócz wyrobu koronek nicianych, wyrabiają koronkarki piotrkowskie koronki jedwabne i wełniane—na łoke i w przedmiotach całkowitych, jak chu steczki, kołnierzyki. Jako szczególnie zręczną w wyrobie koronek wełnianych wymienia *Tydzień* piotrkowski Agnieszkę Musiał. Zaczęła pani Krzywickie podjęły się pośredniczenia między publicznością a koronkarkami, dosta-

tecnie uzdolnionemi do przyjmowania zamówienia, a to pokazując próbki wyrobu i wzory, według których te zamówienia czynione być mogą. Za pokwitowaniem wydają też te panie potrzebującym tego wzory, oraz poduszki i klocki do pomieszczeń. W księgarni p. Jędrzewicza oglądać też można takie same wzory i próbki. Koronkarek dostatecznie uzdolnionych, liczy Piotrków 16. W Kaliszu otwarta została szkoła koronkarska—dziewięta już z rzędu.

— W Krakowskim Muzeum techniczno-przemysłowem rozpoczął się w d. 9 listopada dziewiętnasty rok wykładów dla kobiet. Na wydziale historyczno-literackim, wykładają tam jako przedmioty stałe: Dr T. Ziemia docent Uniw. Jagiell. estetykę i literaturę polską. Gustaw Ehrenberg, literaturę pow. Dr A. Lewicki prof. uni. Jagiell., historią polską. Dr Aug. Sokołowski prof. gimn. 5-tej Anny historią powszechną najnowszych czasów, poczynając od 1830 r. Pedagogikę Andrzej Nizioł dyrektor sem. nauczycielskiego. Przedmioty niestałe są: „O liczeniu słownem i piśmiennem różnych ludów“ Dr Maryan Baraniecki, prof. uni. Jagiell. „O Oceanie Lodowatym i o ostatnich wyprawach do Bieguna Północnego“, Bron. Gąsiewicz, prof. gim. 5-ty Anny. „Naukowo przyrodnicze szkice z pobytu w Peru“ Kon. Jelski, kustosz zbiorów przyrodniczych Akad. Umiejętności. „Zawiazki dziejów Siczy Zaporozkiej“, p. Mar. Dubiecki „Przegląd i charakterystyka języków słowiańskich“ Dr Malinowski, prof. Un. Jagiell. „Zarys dziejów Słowiańskich“ Stan. Zaruski. „O najnowszej muzyce polskiej, poczynając od 1830 r.“ Dr Fran. Bylicki. „O harmonii barw ze szczególnem uwzględnieniem robót kobiecych“, Wład. Łuszczkiewicz, prof. Szkoły Sztuk Pięknych. „O wschodnich ubiorach“ J. Wdowiszewski, kustosz Muzeum tech. przem. Przytem projektowany jest w tegorocznym kursie wykład publ. „O stanowisku kobiety wobec prawa“.

— Na wydziale nauk przyrodniczych: D.D. Wierzbicki, Adj. Obser. Astronom: astronomią popularną. Dr Wł. Szajnoch: mineralogią i geologią. Dr. Rastafinski Prof. Uniw. Botanikę: Dr. Jaworowski, prof. gimn. 5-ty Anny, zoologią. Fran. Tomaszewski pro. gim: 5-tej Anny: Fizyką doświadczalną. Dr. Bandrowski, docent Un. Jagiell. Chemią, Dr. Kaz. Grabowski, docent Un: Jagiell: Hygienę popul.

Na wydziale Sztuk Pięknych, którego kierunek jak lat poprzednich przyjął na siebie mistrz Matejko, wykładają: Dr. Kopernicki, prof. Uniw. Jagiell. „Naukę o budowie i proporcjach ciała.“ Prof: Akad: J. Roter „Pespetywy artystyczne.“ Kustosz Muzeum techn: przem: Wdowiszewski w dalszym ciągu historii Sztuki „O szkołach: Niemieckiej w wieku XV, Holenderskiej i Hiszpańskiej w wieku XVII. „O stylach w sztukach pięknych.“ Tenże w dalszym ciągu „Historii i techniki wyrobów artystycznych.“—„Historią i technikę haftów, oraz ceramiki.“ Wykład: „Teorii Ornamentyki“ będzie dodany później.

Rysunku wolnорęcznego jest oddziałów pięć. W I-m od: Malarz Rossowski udziela malarstwa olejnego i akwarelowego, rysunku z gipsów, z żywej i martwej natry. W od: II. J. Siedlecki: rysunku ze wzorów i gipsów. W od: III Leonia Birkowska: rysunku ze wzorów i gipsów. W IV oddziale krajobrazów udziela w półroczu zimowym lekcje w godzinach oznaczonych osoby, kierujące trzema wyżej wymienionymi oddziałami. W półroczu letnim rysunku z natury będzie tak, jak w latach zeszłych, udzielał malarz, który obejmie kierunek oddziału. W V oddziale niedzielnym udziela Leonia Birkowska rysunku ze wzorów i gipsów. Dla pań poświęcających się malarstwu olejnemu może być otwartym, jak w latach zeszłych, osobny oddział kompozycji, jeżeli zajdzie tego potrzeba.

Rysunku linearnego są oddziały dwa. W dziale I Dr. Wierzbicki udziela rysunku geometrycznego, poprzedzając go nauką geometrii i zastosowania jej do ornamentyki, przemysłu i życia domowego, oraz nauki o cieniach własnych i rzucanych. W oddziale II tenże Dr. Wierzbicki udziela nauki lawowania i nakładania kolorami. W szkole rzeźby udziela modelowania w glinie

rzeźbiarz Marceli Gujski. W szkole drzeworytnictwa udziela drzeworytnictwa Ks. Chlebowska. Ozdobnej kaligrafii L. Peszkowski.

Na wydziale handlowym wykłady rozpoczną się wtedy tylko, gdy zbierze się 12 uczniów. Przedmioty wykładów są: Rachunkowość handlowa, wraz z nauką o miarach i wagach; prowadzenie ksiąg handlowych podwójne i pojedyncze, wraz z nauką o wekslach i papierach publicznych; korespondencya handlowa.

Na wydziale gospodarczym Karol Large, czł. Tow. Rol. wyklada „Domowe gospodarstwo kobiece” Dr. M. Nowicki „O rybactwie krajowym i gospodarstwie rybnem.” Inne przedmioty tego wydziału rozpoczną się wykladać w Maju, jeżeli zbierze się dostateczna liczba słuchaczek.

Lekcje arytmetyki udziela, jak lat zeszłych Dr. Wierzbicki, Adjunkt Obser. Astronomicznego.

Lekcje języków obcych: francuskiego, niemieckiego, angielskiego i włoskiego są także zależne od liczby słuchaczek.

— Jedyną kobietą, zabierającą głos na kongresie Orientalistów w Wiedniu, była Angielka, miss Emilia Edwards z Bristolu, zapisana w oddziale afrykańskim między egiptologami, rozkojającymi najstarszy zapewne grunt cywilizacji ludzkiej—pobrzeża Nilu. Jest to nie młoda już panna, ale młoda jeszcze kobieta, członek społeczeństwa czynny i pracowity w kierunku, dotąd wcale nie uprawianym przez kobietę. Zamiłowanie do badań starożytnych obudziło się w niej bardzo wcześnie, bo pierwsze swe prace w tym kierunku rozpoczęła bardzo młodo; w siedemnastym roku życia już stąpała wśród ruin starożytnych miast Faraonów i brała udział w odkopywaniu Abu-Simbel. Literatura starożytności egipskich zawdzięcza uczonej Angielce obok wielu monografii, do których szczegóły znajdowała w zwitach papyrusowych, wspaniale ilustrowane dzieło: „Pomniki Nilu.” Skromnej, łagodnej, spokojnej powierzchowności kobieta średniego wieku, bardzo przyjemnej powierzchowności, wstąpiwszy w koło uczonych swych towarzyszy, zdawała im sprawę z odkryć swoich z wielką prostotą i zarazem z pewnym powabem słowa. Czytała głównie, przeciw objaśnieniom, wywoływane zapytaniami, dawała ustnie, jasno i treściwie, jakkolwiek w sposób malowniczy i nierzadko poetyczny. Traktowała głównie: „Odkopaliska egipskie”, a szczególnie świeżo odkryte jaskinie na przeciwko Assuan, to jest w Południowym Egipcie u pierwszej katarakty Nilu, gdzie cała okolica pokryta jest szczątkami z faraonowych i ptolemeuszowych czasów. Miss Edwards uważa te jaskinie za część starego cmentarza Nilowej wyspy: Elefantyny, wielce ważnego punktu dla starożytnego handlu etiopijskiego. Przypuszcza, że z tych-to jaskiń pochodzi wielki zbiór mumii, wydobywanych z tamtąd tajemniczo na dwadzieścia kilka lat przed ich odkryciem jawnem. Zdaniem jej sławna mumia i kosztowności królowej Aahotep, znalezione za czasów Mariette-Beja w piaskach Drah Abul Neggah, z tamtąd pochodzą. Uczzone prace miss Edwards zyskały sobie w łonie kongressu wysokie uznanie.

— Szwedka z rodu, zamieszkała w Londynie, Zofia Hedenström, założyła w temże mieście dom dla majtków wszelkiej narodowości, mogący pomieścić 500 osób, które znajdują tam pomieszczenie stoł i wogóle zaspokojenie wszelkich potrzeb, a że przy możliwej taniości wygodnie tu im jest, a przedewszystkiem bezpiecznie, że się nie lękają okradzenia, co często spotyka przybywających do portów miast nieznanych im, garnie się ich tu mnóstwo. Jest to dla tych żeglarzy z różnych kra-

jów i stron świata, jakgdyby pewnego rodzaju kassa oszczędności, bo każdy z przybywających składa w ręce miss Hedenström całe swe pieniądze, czerpiąc z niego powoli na potrzeby każdodziennie, przyczem słyszy życzliwie mu dawane słowa rady, przestrogi i wzruszającego wspomnienia o domu rodzinnym. Z wielką a umiętną starannością skłania zacna filantropka tych prostych, lecz po większej części niezłych ludzi, aby nie zapominali o starych rodzicach, o żonie i dzieciach, zostawionych w ojczyźnie i w roku zeszłym na 50,000 funtów ster: jakie czasowo składano w jej ręce, przeszło 5,000 funtów poszło wspomódz ubogi lud rybaków i wieśniaków nadmorskich wybrzeży. Co tu przybyło dobrobytu, co sercem dających zachowało się uczucia rodzinnego, tyle ubyło złym i psującym ich hulankom. Wszyscy też czują to, i czczą Zofię Hadenström jak świętą patronkę swoją. Została ona dobrowolnie samotną, straciwszy w pierwszych latach młodości narzeczonego na morzu. Spodziewała go się długo, czyniła poszukiwania blisko lat dziesięć, dla nich przeniosła się do cudzego kraju, a w końcu stała się przez wspomnienie młodej miłości opiekunką żeglarzy.

DROBNE LISTKI.

— Wenecka wystawa sztuk pięknych już ma przygotowane dla siebie miejsce. Na przestrzeni 6,000 metrów w ogrodzie ludowym na Riva dei Schiavoni wznosi się budynek, gdzie obok sal wystawy pomieszczą się sale koncertowe, gabinety muzyczne, czytelnie. Wystawa stanowczo już będzie otwartą 24 Kwietnia, trwać ma do 31 Października.

— Święto Liszta obchodzone w Lipsku przez tamtejsze Stowarzyszenie-Liszta rozpoczęło się w dniu 22 Października, przez wykonanie w teatrze miejskim dwóch wielkich kompozycji zmarłego mistrza: symfonii „Dante” i symfonii: „Faust” dokonane bardzo szczęśliwie i w sposób odpowiedni godności przedmiotu, jak się wyraziły miejscowe dzienniki. Na drugi wieczór dało się słyszeć publiczności, jeszcze liczniej zalegającej salę teatru, dwóch pianistów: Bernard Stevenhagen i Artur Friedheim, następnie znana śpiewaczka pieśni Liszta, Steinbach-John, odśpiewała najcelniejsze jego utwory wokalne. Na trzeci dzień, to jest 24 Października, lipskie stowarzyszenie muzyczne wykonało w kościele Ś-go Piotra wielkie dzieło Liszta: „Missa choralis” na chór mieszany, głosy solowe i organy.

— Trzęsienie ziemi na przestrzeni bardzo szerokiej dało się czuć w Ameryce tegosamego dnia, którego tam grano i śpiewano: 22 Października. O piątej godzinie rano uczuto je w Waszyngtonie, gdzie nadeszły wkrótce telegramy, że wstrząśnienia podobne dały się czuć: w Charleston, Savannah, Augusta, w Kolumbii, Oranenburgu, Wilmingtone, w Północnej Karolinie, i w rozmaitych miejscach Wirginii, Tennessee, Ohio i Florydy. Trzy następne silniejsze wstrząśnienia wydarzyły się o 3 godzinie po południu. W Kaszmirze, w miejscowości Srynagar silne i dłużej trwające trzęsienie zbudziło ludzi w nocy z dnia 20 na 21 Października. Ogniste meteory przelatowały przytem niebo i spadały na ziemię, od chwili pierwszego uczutego wstrząśnienia, aż do wschodu słońca. Ludność cała znajduje się w stanie wielkiego przerażenia.

— Podziemny przekop pod Oeresundem mający połączyć koleją żelazną Danią ze Szwecją, zostanie wkrótce rozpoczętym. Szwedzkie ministerium spraw wewnętrznych zwróciło się właśnie do odpowiedniej władzy duńskiej z żądaniem, aby mieszana komisya, złożona z inżynierów obu krajów, zawyrokowała o podziale pracy między obu państwami.

— Starożytny cmentarz został odkryty we wsi Skatniki w pobliżu miasteczka Rasenburg. Na przestrzeni 20 kwadratowych metrów, odkryto wiele urn, z których 20 dało się w całości wydobyc. Były one umieszczone w ziemi na dwie stopy głęboko, otoczone kamieniami i z góry przyłożone kamieniem, wielkości głowy ludzkiej. Cmentarz ten zdaje się pochodzić z pierwszych wieków po Chrystusie, wieków żelaza, i Niemcy tłumaczą, że zatem są to prochy Germanów, którzy w czasach owych zamieszkiwali te strony Europy, zanim biedacy nie zostali wyparci przez Słowian, a jak tu przez plemiona Prusów. Urny zostały odesłane do Wschodnio-Pruskiego Muzeum w Królewcu, gdzie te prochy stare zostaną z rodzinnego miana okradzione.

— Odkrycie i odgrzebanie starożytnego miasta etruskiego Vetulonia, którego dokonał Dr. J. Falchi w prowincji Grosseto, w miejscowości Colonna, obudziło w uczonych kołach włoskich wielkie zajęcie. Znalezione 20 wielkich waz bronzowych, wielką liczbę tarczy, szyszaków, mieczy, kopii, srebrnych waz, z których jedna jest bardzo artystycznie, delikatnie cyzelowana. Glinianych naczyń ozdobnych, malowanych jest nie obliczona ilość i odkrycie to stanowi jeden więcej dowód, jak sztuka etruska była wysoko rozwinięta, jak posiadała wielkie poczucie piękna, znajomość proporcji i harmonii.

— Brytańskie Stowarzyszenie Biblioteczne, które zgromadziło się w Londynie na szereg posiedzeń, trwających od 30 Września do 10 Października, zajmowało się głównie kwestją: jak biblioteki publiczne powinny być urządzone, aby przynosiły największy dla ogółu pożytek? Na zapytanie: w jaki sposób zapasy książkowe całego świata mogą zostać zorganizowane w jedną całość, przyjęto odpowiedź, że stać się to może tylko przez wydanie drukowanych katalogów wszystkich bibliotek, z których powstałby jeden powszechny katalog. Muzeum Brytańskie posiadające największą w świecie, bo 3,000,000 dzieł mieszczącą bibliotekę, uczyniło pierwszy krok do tego, bo wszystkie angielskie dzieła po rok 1640 są już skatalogowane. Naczelnny bibliotekarz Brytańskiego Muzeum, Dr. Bond, postawił wniosek, aby wszystkie rządy zostały wezwane przez Stowarzyszenie do podobnego spisania zawartości bibliotek swoich, a wtedy dopiero katalog powszechny powstać może. Wniosek przyjęto z poprawką, aby wezwania podobne zostały zarazem zwrócone do wszystkich niezawisłych od rządu stowarzyszeń, zakładów i osób prywatnych, wszelkich krajów Europy, posiadających znaczniejsze już księgozbiory.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza Gourmont.

TREŚĆ. Powrót pieśni, poezya, przez Szczęsną. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicz. — Korespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Z działy przyrody, przez W. Niewiadomskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie), przez Sew. Duchinińską. — Kronika działalności kobiecej. — Drobnie listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza de Gourmont. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Октября 1886 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.